

Guy de Maupassant

Cztery opowiadania

wybór z tomu
Opowieści słonki



przełożyli
i opracowali

Marcin Brożek
Adam Chrzanowski
Jowita Jakubiak
Jakub Kopczuk
Marta Kurkowska
Emilia Turtoń



Cztery opowiadania

Guy de Maupassant

Cztery opowiadania

wybór z tomu
Opowieści słonki

Przetłumaczyli i opracowali
Marcin Brożek, Adam Chrzanowski,
Jowita Jakubiak, Jakub Kopczuk,
Marta Kurkowska, Emilia Turtoń

pod redakcją
Jędrzeja Pawlickiego i Marty Sukiennickiej



Poznań 2024

Projekt okładki:
Ewa Wiktorowska

Korekta:
Sebastian Surendra

Copyright by:
Autorzy

Copyright by:
Wydawnictwo Rys

**Publikacja sfinansowana przez Instytut Języków i Literatur Romańskich UAM
oraz Wydział Neofilologii UAM**

Wydanie I

Poznań 2024

ISBN 978-83-68006-35-3

DOI 10.48226/978-83-68006-35-3

Wydanie:



Wydawnictwo Rys
ul. Kolejowa 41
62-070 Dąbrówka
tel. 600 44 55 80

e-mail: tomasz.paluszynski@wydawnictworys.com
www.wydawnictworys.com

Spis treści

Od redaktorów	7
---------------------	---

Słonka

(przełożył i opracował Adam Chrzanowski).....	9
Słowo wstępne.....	11
Słonka.....	13

Obląkana

(przełożyli i opracowali Marcin Brożek i Marta Kurkowska).....	17
Słowo wstępne.....	19
Obląkana.....	21

Losy Waltera Schnaffsa

(przełożyli i opracowali Jakub Kopczuk i Emilia Turtoń).....	25
Słowo wstępne.....	27
Losy Waltera Schnaffsa	31

Kogut zapiał

(przełożyła i opracowała Jowita Jakubiak).....	39
Słowo wstępne.....	41
Kogut zapiał	43

Od redaktorów

Niniejszy tomik tłumaczeń jest owocem pracy grupy studentów I i II roku studiów magisterskich poznańskiej romanistyki. W ramach prowadzonego przez dr. Jędrzeja Pawlickiego i dr Martę Sukiennicką seminarium badawczego studenci zaproponowali tłumaczenia nieznanych lub trudno dostępnych polskiemu czytelnikowi tekstów mistrza francuskiej nowelistyki, Guy de Maupassanta. Nowele poprzedzone są słowem wstępnym, w którym tłumacze proponują nowe spojrzenia na powstałe sto pięćdziesiąt lat temu teksty. Szczególnie aktualnie brzmi dzisiaj ich antymilitarystyczne przesłanie.

Podstawą tłumaczeń jest wydanie *Contes et nouvelles* pod redakcją Louisa Forestiera i Martine Reid, wydane przez Gallimard w 2014 roku.

Słonka

przełożył i opracował Adam Chrzanowski

Słowo wstępne

Guy de Maupassant (1850-1893) to powieściopisarz i nowelista zaliczany do czołowych przedstawicieli naturalizmu we Francji. Mimo stosunkowo późnego debiutu szybko odniósł sukces literacki dzięki wieloletniej przyjaźni z Gustavem Flaubertem, największym stylistą dziewiętnastowiecznej prozy francuskiej. Znajomość z autorem *Pani Bovary* znacząco przyczyniła się nie tylko do rozwoju kunsztu literackiego Maupassanta, ale miała też decydujący wpływ na jego twórczość i poglądy estetyczne. Dzieła Maupassanta charakteryzuje chłodna obserwacja społeczeństwa i pozbawione złudzeń, pełne pesymizmu podejście do świata. Przyczyn tej postawy można doszukiwać się między innymi w zawirowaniach społeczno-gospodarczych charakteryzujących drugą połowę dziewiętnastego wieku, gdy gwałtowny rozwój przemysłu pogłębiał nierówności społeczne, ożywiając dawnego ducha rewolucji, a przegrana wojna z Prusami upokorzyła cały naród.

Bolesne doświadczenia okupacji pruskiej i militarnej klęski są opisane w szeregu nowel Maupassanta, między innymi w znanej polskiemu czytelnikowi *Baryłeczce*¹. Opowiadanie, opublikowane w zbiorze *Wieczory medańskie*, będącym manifestem naturalizmu, przyniosło pisarzowi upragniony rozgłos. Od tej pory Maupassant rzuca się w wir literackiej pracy, by żyć z pióra. Dekada 1880-1890 jest najbardziej owocnym okresem w jego życiu. Publikuje aż sześć powieści, ponad trzysta nowel, a także relacje z podróży. Oprócz tego pisze liczne artykuły, felietony i reportaże do gazet takich jak „Le Figaro”, „Gil Blas”, „Le Gaulois” i „l'Écho de Paris”. Jego nowele są wydawane w tomach, których opublikował w sumie piętnaście. *Opowiadania słonki* to trzeci w kolejności zbiór po *La Maison Tellier* (1881) i *Pannie Fifi* (1882), wydany w marcu 1883 roku przez Rouveyre'a i Blonda w nakładzie

¹ Guy de Maupassant, *Baryłeczka. Opowiadania*, przełożyła Róża Czekańska-Heymanowa, Iskry, Warszawa 1983.

dwóch tysięcy sztuk. Większość nowel należących do tego zbioru ukazywała się w latach 1882-1883 w gazetach „Le Gaulois” i „Gil Blas”.

Zbiór obejmuje siedemnaście nowel, z których pierwsza, *Słonka* (*La Bécasse*), pełni funkcję opowiadania ramowego. Taka kompozycja nawiązuje do klasycznych cykli nowelistycznych – *Dekameronu* Giovanniego Boccaccia czy *Heptameronu* Małgorzaty z Nawarry. Tradycyjny w formie zbiór Maupassantowskich nowel charakteryzuje się jednak większą niejednorodnością niż jego modele – choć prolog narracyjny ustanawia fikcyjną sytuację dla pozostałych opowiadań, mającą wytworzyć efekt tradycyjnej oralności, większość nowel ze zbioru funkcjonuje zupełnie autonomicznie wobec opowiadania ramowego. To ostatnie jest pretekstem do snucia różnorodnych opowieści mających zabawić kalekiego barona, niegdyś myśliwego, dziś tropiciela swawolnych anegdot. Podczas corocznie organizowanej przez niego uczty, odbywającej się w okresie jesiennych polowań na ptactwo, baron zaprasza swoich towarzyszy-myśliwych do ceremonii *opowieści słonki*, polegającej na tym, że losowo wybrany biesiadnik dostępuje zaszczytu zjedzenia wszystkich ptasich główek, w zamian za co musi opowiedzieć zajmującą historię. Przyjemność słuchania opowieści zostaje tu zrównana z rozkoszą degustacji wykwinnych, a zarazem odpychających ptasich głów.

Opowiadania myśliwych dotyczą polowań, ale niekoniecznie na zwierzynę. Można pokusić się o stwierdzenie, że to sam autor urządza polowanie na szerokie kręgi społeczne, które poddaje następnie surowej i wnikliwej obserwacji. Jego spojrzenie jest bezlitosne, czasem szydercze, ironiczne, nie oszczędza nikogo. Maupassant po mistrzowsku portretuje przywary i podłość dziewiętnastowiecznego społeczeństwa. W tych krótkich opowiadaniach sporządza imponujący katalog ludzkich wad: chciwości, pychy, wyuzdania, żądzy, tchórzostwa i zwykłej głupoty. Jego styl jest zwięzły, płynny, lekki i prosty, a przez to bezpośredni, precyzyjny i jasny. Kilkoma wprawnymi pociągnięciami pióra zarysowuje postacie o różnym charakterze, dzięki czemu jeszcze dobitniej podkreśla prostotę tragedii oraz banalność okrucieństwa, które dotyka wszystkich bez wyjątku. Jednocześnie zachowuje dystans, nie moralizuje, ale po prostu relacjonuje fakty, zostawiając w ten sposób czytelnikowi miejsce na wydawanie sądów.

Słonka

Stary baron des Ravots przez czterdzieści lat był królem myśliwych w swojej prowincji. Ale od pięciu czy sześciu lat paraliż nóg przykuł go do fotela i jedyne, co mógł robić, to strzelać do gołębi z okna salonu lub ze szczytu schodów.

Przez resztę czasu czytał.

Był to człowiek towarzyski, w którym zachowało się wiele z literackiego ducha minionego stulecia. Uwielbiał opowieści, swawolne anegdoty, a także historie, które przytrafiały się osobom z jego otoczenia. Gdy tylko jakiś znajomy odwiedzał go w domu, zagadywał:

— Co tam słychać?

A przesłuchiwać potrafił niczym sędzia śledczy.

W słoneczne dni kazał wozić się przed drzwiami w szerokim, przypominającym łóżko fotelu. Jeden sługa za jego plecami przytrzymywał strzelby, nabijał je i podawał swemu panu, a drugi, ukryty w gęstwinie krzewów, wypuszczał co jakiś czas gołębia tak, aby baron się go nie spodziewał i zachował czujność.

I tak od rana do wieczora strzelał do rozpędzonych ptaków, lamentując, gdy dał się zaskoczyć, i śmiejąc się do łez, gdy zwierzyna padała prosto na ziemię lub wykręcała kilka niespodziewanych i zabawnych fikołków. Odwracał się wtedy do chłopca, który łądował broń i pytał, dusząc się z radości:

— Jest tutaj, Józiu! Widziałeś, jak spadł?

A Józio odpowiadał niezmiennie:

— Och, pan baron nigdy nie chybia.

Jesienią, w porze polowań, zapraszał do siebie przyjaciół, jak za dawnych czasów, ponieważ uwielbiał słuchać huków wystrzałów w oddali. Liczył je, szczęśliwy, gdy na siebie zachodziły. Wieczorem zaś od każdego domagał się wiernej relacji z przebiegu dnia.

Siadano wówczas przy stole i przez trzy godziny rozprawiano o wystrzałach.

Były to dziwne i niewiarygodne przygody, w których samochwałczy humor myśliwych znajdował szczególne upodobanie. Kilka z nich przeszło do annałów i regularnie wracało w opowieściach. Historia

królika, którego syn wicehrabiego de Bourril chybił z sieni, sprawiała, że towarzystwo co roku tak samo skręcało się ze śmiechu. Co pięć minut kolejny mówca dodawał:

— Słyszę „Frr! Frr!” i wspaniała gromada czmycha dziesięć kroków dalej. Celuje: „Pif! Paf!” i widzę deszcz, prawdziwy deszcz! Padło ich siedem.

I wszyscy, zdumieni, lecz bez wzajemnej nieufności, wpadali w zachwyt.

Panował też w domu stary zwyczaj, zwany *opowieściami słonki*².

Podczas każdej kolacji, w momencie podania tej królowej dziczyzny, powtarzano tę samą ceremonię.

Jako że ubóstwiano tego niezwyklego ptaka, co wieczór każdy gość mógł raczyć się jedną sztuką tego rarytasu. Troszczono się przy tym, by wszystkie główki trafiły do jednego naczynia.

Następnie baron, zachowując powagę biskupa, kazał podawać sobie odrobinę tłuszczu na talerzu, namaszczał nim starannie drogocenne główki, trzymając je za czubek cieniutkiej igły służącej za dziób. Obok stawiono zapaloną świecę, a wszyscy milczeli w niespokojnym oczekiwaniu.

Potem baron brał jedną z tak przygotowanych czaszek, mocował ją na szpilce, szpilkę wbijał w korek, całość utrzymywał w równowadze za pomocą skrzyżowanych jak drążki linoskoczka patyczków i ostrożnie osadzał konstrukcję na szyjce butelki, na podobieństwo kołowrotka.

Wszyscy goście odliczali razem donośnym głosem:

— Raz, — dwa, — trzy.

A baron pstryknięciem palca wprawiał zabawkę w szybki obrót.

Ten z obecnych, na którego wskazał długi, spiczasty dziób, stawał się panem wszystkich główek, wybornego przysmaku wzbudzającego chciwe spojrzenia sąsiadów.

Brał je jedna po drugiej i podpierał nad świecą. Tłuszcz skwierczał, zarumieniona skórka dymiała, a wybraniec losu wgryzał się w tłustą czaszkę, trzymając ją za dziób i wydając z siebie okrzyki rozkoszy.

² Słonka (fr. *bécasse*) – to rodzaj ptaka brodzącego z podrodziny słonek, z rodziny bekasowatych. Słonki są ptakami leśnymi średniej wielkości (około 35 cm) o pstrokatym brunatno-rdzawo-szarym upierzeniu. Mają krępą sylwetkę, krótkie nogi i charakterystyczny, długi, cienki dziób (7-8 cm). Myśliwi uważają tego ptaka za cenny przedmiot polowań, ponieważ z racji jego szybkiego i zwinnego lotu trudno jest do niego strzelić. Wiąże się z nim wiele rytuałów gastronomiczno-łownych.

Za każdym razem biesiadnicy wznosili kieliszki i pili za jego zdrowie.

A gdy skończył ostatnią, musiał, na rozkaz barona, opowiedzieć historię, aby zrekompensować straty tym, którzy główek zostali pozbawieni.

Oto niektóre z tych historii.

Oblakana

przełożyli i opracowali Marcin Brożek i Marta Kurkowska

Słowo wstępne

W jednym ze swoich kluczowych manifestów antymilitarystycznych zatytułowanym *Wojna (La Guerre)*, który ukazał się 11 grudnia 1883 roku w gazecie „Gil Blas”, Maupassant ukazał brutalność i absurd wojny, skupiając się zarazem na psychologicznych aspektach konfliktu zbrojnego. We właściwy sobie, bezpardonowy i bezkompromisowy sposób autor konstatował: „Kiedy słyszę słowo *wojna*, ogarnia mnie przerażenie, jakbym mówił o czarach, inkwizycji, czymś odległym, skończonym, odrażającym, potwornym, wbrew naturze. Kiedy ludzie mówią o ludożercach, uśmiejemy się z dumą, głosząc naszą wyższość nad tymi dzikusami. Kim są dzikusy, prawdziwe dzikusy? Tymi, którzy walczą, by zjeść pokonanych, czy tymi, którzy walczą, by zabijać, nie ino zabijać?”³. Maupassant doświadczył czasów nowego barbarzyństwa: miał zaledwie dwadzieścia lat, kiedy wybuchła wojna francusko-pruska, która wstrząsnęła światopoglądem jego oraz całego pokolenia.

Przyczyny wybuchu tej wojny tkwiły w złożonym kontekście politycznym dziewiętnastowiecznej Europy. Zestawienie rosnącej potęgi Prus i francuskich ambicji mocarstwowych wraz z napięciami wynikającymi z kwestii sukcesji hiszpańskiej zaowocowało konfliktem zbrojnym. Wojna ta, o której losach przesądziła klęska Francji w bitwie pod Sedanem w 1870 roku, poskutkowała wieloma zmianami na geopolitycznej mapie Europy. Doszło do zjednoczenia Niemiec, które proklamowane zostało we Francji, w Pałacu Wersalskim, co było sromotną porażką zarówno polityczną, jak i symboliczną państwa francuskiego. Zdruzgotane przegraną społeczeństwo było w stanie wrzenia, czego symptomem była próba ustanowienia Komuny Paryskiej w 1871 roku. Wpływ wojny francusko-pruskiej na życie literacko-filozoficzne we Francji był znaczący. Przyczynił się do dezaktualizacji dawnych paradygmatów obowiązujących w sztuce – przede wszystkim pogrzebał romantyzm. W tym kontekście

³ Guy de Maupassant, *La Guerre*, „Gil Blas”, 11 grudnia 1883.

ruchy literackie i filozoficzne, takie jak realizm i naturalizm, zdobyły na sile jako narzędzia analizy społecznej w kontekście tragedii wojennej.

Nowela o wymownym tytule *Obląkana* (*La Folle*) mówi o oblędzie wojennym, w którym cierpią zawsze ci, którzy nie są głównymi bohaterami Historii. Punkt ciężkości zostaje tu położony nie na wykrwawiających się w walce żołnierzy, ale na atrofię ludzkiej świadomości, ludzkiego ja, które ulega rozpadowi w obliczu upadku wartości. W świecie Maupassanta zło i smutek istnieją w każdym z nas, a wojna jest jedynie dopełnieniem krajobrazu, w którym poruszają się bohaterowie. Oblęd tajemniczej sąsiadki narratora, spowodowany utratą najbliższych, zaczął się na długo przed wejściem Prusaków do wsi. Szaleństwo będące wynikiem rozpacz i smutku wydaje się z jednej strony emanacją kondycji społeczeństwa francuskiego w tamtych latach, niezdolnego do jakiegokolwiek reakcji na zło, biernego wobec wiatru dziejów, jak i ostatnim świadectwem tego, co jeszcze w człowieku ludzkie, nie *kanibalistyczne*. Trudno stwierdzić, czyją ofiarą jest zatem kobieta. Pozostaje to ocenić samemu czytelnikowi.

Obląkana

Widzicie, rzekł baron Mathieu d'Endolin, słonki przypominają mi bardzo ponurą anegdotę o wojnie.

Znacie moją posiadłość na obrzeżach Corneil. Mieszkalem tam, gdy przybyli Prusacy. Za sąsiadkę miałem wówczas pewną wariatkę, która straciła rozum pod ciężarem nieszczęść. Niedługo, gdy miała dwadzieścia pięć lat, w przeciągu jednego miesiąca straciła ojca, męża i nowonarodzone dziecko.

Śmierć, raz przekroczywszy próg domostwa, szybko do niego powraca, jakby miała do niego klucz.

Biedna młoda kobieta, oszołomiona rozpaczą, przykuta do łóżka, majaczyła przez sześć tygodni. Następnie po tym gwałtownym kryzysie pojawiło się pewnego rodzaju błogie znużenie. Pozostała bez ruchu, ledwo co jedząc i przewracając jedynie oczami. Za każdym razem, gdy chcieliśmy ją podnieść, krzyczała, jak byśmy obdzierali ją ze skóry. Zostawiono ją więc leżącą, wyciągając z łóżka tylko po to, by wykonać toaletę i odwrócić materace.

Czuwała przy niej stara służąca, która poila ją od czasu do czasu i dawała jej do przeżucia trochę zimnego mięsiwa. Co działo się w tej zrozpaczonej duszy? Tego nikt nigdy nie odkrył, ponieważ nie wydała już z siebie głosu. Rozmyślała o zmarłych? Snuła smutne sny z rozmytymi wspomnieniami? A może jej amorficzna myśl pozostawała nieruchoma niczym rzeka pozbawiona biegu?

Przez piętnaście lat trwała w owym stanie stuporu i inercji.

Nadeszła wojna. W pierwszych dniach grudnia Prusacy wdarli się do Corneil.

Pamiętam, jakby to było wczoraj. Panował siarczysty mróz. Sam przesiadywałem całymi dniami w fotelu, unieruchomiony przez podagrę, kiedy usłyszałem ciężki tętent ich kroków. Przez okno ujrzałem, jak przechodzili.

Maszerowali nieprzerwanie, wszyscy uszyci z jednej tkaniny, ruchem marionetek, który był im właściwy. Następnie dowódcy przydzielili żołnierzy mieszkańcom. Mnie przypadło siedemnastu. Obląkana sąsiadka dostała dwunastu, w tym komendanta, prawdziwego żołdaka, brutalnego i nieokrzesanego.

Przez pierwsze dni wszystko toczyło się normalnie. Oficerowi powiedziano, że pani jest chora, a on w ogóle nie zwrócił na to uwagi. Lecz wkrótce ta kobieta, której nigdy nie widziano, rozdrażniła go. Powziął informację o jej chorobie; odpowiedziano mu, że cierpiąca leży w łóżku od piętnastu lat wskutek ogromnego żalu. Za nic w to nie uwierzył i pomyślał, że biedna nierozumna nie opuszcza łóżka z powodu dumy, że nie chce ani oglądać Prusaków, ani zamieniać z nimi słowa, nie chce nawet się o nich otrzeć.

Zażądał, aby go przyjęła; wpuszczono go do jej alkowy.

Zapytał szorstko:

– Phosze pania wsztąć, byszmy wydzieć pani.

Zwróciła ku niemu mętne, puste oczy i nic nie odpowiedziała.

Kontynuował:

– Ja nieposzłuszeństwo nie tolerować. Jeszli pani nie wsztąć po woli, sznajda szposób, by pania iść szama.

Nie wykonując najmniejszego gestu, pozostała w bezruchu, jakby go nie widziała.

Wpadł w amok, uznając to spokojne milczenie za oznakę najwyższej pogardy. I dodał:

– Jeszli nie wyjsz pani jutro...

I odszedł.

Następnego dnia stara służąca, zrozpaczona, próbowała ją ubrać; ale obłąkana kobieta zaczęła wrzeszczeć i szamotać się. Oficer szybko poszedł na górę, a służąca, rzucając się na kolana, krzyknęła:

– Ona nie chce, proszę pana, ona nie chce. Proszę jej wybaczyć, jest taka niepocieszona.

Żołnierz był zakłopotany, nie ośmielając się, pomimo gniewu, kazać swoim ludziom wyciągnąć ją z łóżka. Ale nagle roześmiał się i wydał rozkazy po niemiecku.

Wkrótce pojawił się oddział, który podniósł materac i wyniósł go, jakby transportował rannego. W tym niepościelonym łóżku był wariatka, zawsze milcząca – kiedy leżała, pozostawała spokojna, obojętna na wydarzenia. Mężczyzna szedł za pochodem, niosąc zawiniątko z damskimi ubraniami.

Oficer odparł, zacierając ręce:

– Damy rada, jeśli nie może się pani ubrać szama i iszcz na mały szpacer.

Następnie orszak oddalił się w kierunku lasu Imauville.
Dwie godziny później żołnierze wrócili sami.
Obłąkanej nie widziano już więcej. Co z nią zrobili? Gdzie ją zabrali?
Nigdy się już nie dowiedziano.

* * *

Śnieg padał teraz dzień i noc, okrywając całą równinę i lasy całunem zmrożonego puchu. Wilki przychodziły wyć aż pod same drzwi.

Wciąż nawiedzała mnie myśl o tej zaginionej kobiecie. Kilkakrotnie zwracałem się do pruskiego szefostwa, aby zdobyć jakieś informacje. O mało nie zostałem rozstrzelany.

Wiosna powróciła. Armia okupacyjna się oddaliła. Dom sąsiadki pozostawał zamknięty. Gęsta trawa zarastała alejki.

Stara służąca zmarła zimą. Nikt już nie przejmował się tą historią. Tylko ja bez ustanku o niej myślałem.

Co zrobili tej kobiecie? Uciekła przez las? Znaleziono ją gdzieś i zatrzymano w szpitalu – tak, że niepodobna otrzymać o niej żadnej wieści? Nic nie uśmierzało mych wątpliwości. Lecz stopniowo czas złagodził bólaczki serca.

Tymczasem nadeszła jesień, słońki przyleciały stadnie i jako że podagra dała mi trochę wytchnienia, zawlokłem się aż do lasu. Zabiłem już wcześniej cztery czy pięć słonek, kiedy to zestrzeliłem jedną, która zniknęła w rowie pełnym gałęzi. Musiałem tam wrócić, żeby zabrać ubitego ptaka. Znalazłem go leżącego przy głowie trupa. I nagle wspomnienie wariatki uderzyło mnie w pierś falą gorąca. Wielu innych być może wyzionęło ducha w tych lasach tego katastrofального roku, ale nie wiedzieć czemu, byłem pewien, pewien, mówię wam, iż znalazłem głowę biednej obłąkanej.

I wtem zrozumiałem, pojąłem wszystko.

Zostawili ją na tym materacu w zimnym, opuszczonym lesie, a ona, wierna swojej obsesji, pozwoliła sobie umrzeć pod warstwą gęstego śniegu, nie ruszywszy ni ręką, ni nogą.

Potem pożarły ją wilki.

A ptaki uwiły gniazda w pościeli jej rozszarpanego łóżka.

Zachowałem tę smutną czaszkę. I pragnę, by nasi synowie nie ujrzeni już nigdy wojny.

Losy Waltera Schnaffsa

przełożyli i opracowali Jakub Kopczuk i Emilia Turtoń

Słowo wstępne

Dobra literatura nie może istnieć w oderwaniu od realiów, czy to społecznych i kulturowych, czy politycznych. Stanowi nie tylko odbicie współczesnych autorowi nastrojów, lecz również wyraz jego własnych sympatii i antypatii. Z tego powodu zdarza się nierzadko, że nawet wielkie dzieła nie przechodzą próby czasu; niekiedy pokrywa je kurz zapomnienia, a innym razem ich wydźwięk zupełnie nie przystaje do współczesnej wrażliwości czytelniczej. Od dnia publikacji zbioru Guy de Maupassanta minęło blisko sto pięćdziesiąt lat, można się więc zastanawiać, czy dziełu francuskiego pisarza udało się uniknąć pułapki anachroniczności.

W *Losach Waltera Schnaffsa* (*L'Aventure de Walter Schnaffs*) przybliża on historię nieznaczącego pruskiego żołnierza, który wraz ze swoją armią bezwzględnie wdzierą się na terytorium Francji, by prowadzić wojnę. Co ciekawe, Maupassant nie utożsamia się z patriotycznym punktem widzenia, perspektywą, która tworzyłaby pokusę, by przedstawić owego bohatera jako brutalnego, prostego żołdaka. Pejoratywne ukazanie tej postaci byłoby całkowicie zrozumiałe na tle historycznym: Francja przegrała wojnę z Prusami, co wpłynęło na nastroje społeczne, odzwierciedlające się w literaturze tamtego okresu. A jednak Walter Schnaffs jawi się jako człowiek całkowicie zwyczajny: dumny ojciec, oddany mąż, wplątany wbrew woli w tryby wielkiej historii. Wcale nie zależy mu na chwale ojczyzny; w zasadzie zamiast tułać się po francuskiej prowincji wolałby „zajadać się dobrym jedzeniem i popijać piwo w karczmach”.

Maupassant często przyjmuje pozornie prześmiewczy ton względem swojego protagonisty. Naśmiewa się z jego mizernej odwagi, niezgorszego apetytu czy po prostu niezbyt chwalebnych „czynów”. W celu intensyfikacji efektu pisarz wykorzystuje groteskową stylistykę, która wybrzmiewa zwłaszcza w scenach jedzenia. Czytelnik już na początku utworu dowiaduje się, że bohater lubi dużo zjeść, lecz opis spożywania

posiłku nabiera tu nietypowego charakteru: nie jest to zwykłe obżarstwo, a raczej scena, którą – używając współczesnych kryteriów – określilibyśmy jako wywiedzioną wprost z konwencji *body horroru*. Walter nie je, jemu żywność osuwa się w dół nabrzmiewającego przełyku, który trzeba czasami udrożnić cydrem, tak jak przepycha się zatkaną rurę. Taki sposób przedstawienia postaci może drażnić wrażliwość współczesnego odbiorcy; otyłość Waltera jest opisana dosadnie i nie ulega wątpliwości, że ma dowodzić słabości jego charakteru. Scena obżarstwa dehumanizuje go i nadaje przymiotów zwierzęcych, a nawet potwornych.

Zastosowanie groteski nie ma jednak na celu banalnej karykatury Waltera, a czytelnik z czasem przestaje widzieć w nim zwykłego tchórze czy ponadprzeciętnego obżartusa. Dostrzega za to jednostkę, która na wojnie wcale nie chciała się znaleźć, ale musi mimo to poradzić sobie w skrajnie niesprzyjających okolicznościach. Czyny widziane w krzywym zwierciadle okazują się walką o przetrwanie w trudnych warunkach. Co więcej, w opowiadaniu obie strony zostają przedstawione dość krytycznie, także Francuzi; pisarz nie identyfikuje się z rodakami, zmuszonymi do obrony ojczyzny, chętnie zaś subtelnie się z nich śmieje. Nie nadaje im bohaterstwa, zwłaszcza wobec upokorzeń, których nie szczędzi Walterowi. Obie strony zdają się funkcjonować na podobnych zasadach, które narrator krytycznie i ironicznie opisuje.

Maupassant prezentuje w ten sposób swoisty teatr wojny, w którym obie strony raczej wołałyby nie uczestniczyć. Mimo że cała kampania miała znacznie większe znaczenie dla obozu Prusaków, bijącego się o zjednoczenie kraju, to tytułowy bohater nie uznaje tego konfliktu za swój. Pisarz skupia się na jednostkowej perspektywie, na dalszym planie zostawiając wielką historię. Jest niechętny wojnie, sprzeciwia się pojęciu „honoru narodowego”, będącego w jego ujęciu kulturowym chochołem, pretekstem do posyłania ludzi na śmierć w imię wartości, z którymi nie potrafią się utożsamić⁴. Przedstawia się zatem jako antymilitarysta, a słusność wojny dopuszcza tylko w jednej sytuacji – konieczności obrony ojczyzny. Nie staje się ona wtedy bardziej wzniosła – ciągle jest okropnością – lecz pozostaje przynajmniej uzasadniona.

⁴ Katarina V. Melić, *Maupassant et la guerre de 1870*, „Наслеђе” 40, 2018, s. 87-98.

Współczesny czytelnik czuje bliskość wojny, choćby tej za wschodnią granicą; zewsząd atakują go kolejne pesymistyczne informacje, a w konsekwencji staje się bardziej wyczulony na obecność tego rodzaju wątków, nawet w starszych tekstach, które do dzisiejszego kontekstu wcale nie nawiązują. *Losy Waltera Schnaffsa* odczytywane przez pryzmat antymilitarystycznej soczewki wydają się więc niezmiennie aktualne w dzisiejszym świecie naznaczonym pogłębiającymi się podziałami. Utwór trafia do czytelnika, który odczuwa strach przed wysłaniem na front, co oznaczałoby dla niego odebranie jakiejkolwiek możliwości decydowania o sobie, a także brutalne zerwanie z dotychczasowym, nienaznaczonym przymocowaniem do życia. Maupassant może tym bardziej do niego przemówić, jako że nie naśmiewa się z woli przeżycia swojego bohatera, wskazując na wyniszczający wpływ wojny na jednostkę, która wcale nie musi się zgadzać z wpajanymi jej, dumnie brzmiącymi nacjonalistycznymi ideami. Opowiadanie ma wydźwięk humanistyczny, choć do tragedii dochodzi niejako w tle. Pisarz w pewnym sensie traci z oczu tytułowego bohatera – utwór zaczyna od jego szczegółowego przedstawienia, kończy zaś dość przewrotnie; warto zwrócić uwagę, jaką wzmianką narrator zamyka opowieść. Jednostka szczególnie się tu nie liczy, prawda okazuje się subiektywna, kreuje się ją w miarę potrzeb. Taka już jest żelazna logika wojny.

Losy Waltera Schnaffsa wyróżniają się tematycznie na tle całego zbioru. Opowiadanie ramowe rozpoczynające *Opowieści słonki* zapowiada czytelnikowi, że będzie mieć do czynienia z literaturą myśliwską, w której motyw polowania i zwierzyny będzie powracał nieustannie. Możemy się więc zastanawiać, kto właściwie jest tutaj ofiarą, a kto myśliwym. Pod tym kątem dzieło Maupassanta jest przewrotne, bo role te nie wydają się jasno określone. Mimo oczywistej przewagi jednej ze stron zarówno Walter, jak i Francuzi czują się momentami jak na celowniku. Zwykliśmy sobie wyobrażać wojnę jako nieustanną walkę o przetrwanie, w której poddajemy się instynktom. W opisie Maupassanta Walter nabywa cech niemalże zwierzęcych – przypomina przerażonego zająca, uciekającego w popłochu przed stadem ogarów. Dodaje to kolejnej warstwy do komiczności tej postaci; dorosły mężczyzna, żołnierz znakomicie zorganizowanej armii – ucieka w przestraszu. Jego obawy i motywacje są jednak jak najbardziej zrozumiałe, co skłania czytelnika do refleksji nad tym, jak wojna zmienia człowieka. Maupassant zdaje się pytać: czy wojna spycha nas do roli zwierzyny?

Losy Waltera Schnaffsa

Od kiedy wraz z armią pruską wkroczył na tereny francuskie, Walter Schnaffs miał się za najniezwyklejszego z ludzi. Był gruby i chodził z trudem, ciężko dysząc i cierpiąc katusze z powodu swoich tłustych, płaskich stóp. Uspokojenie miał przyjazne i pokojowe, poza tym nie przejawiał ani specjalnej wielkoduszności, ani żądy krwi. Był także ojcem czwórki ukochanych dzieci oraz mężem młodej kobiety o jasnych włosach, której czułości, drobnych pieszczot i pocałunków żałośnie brakowało mu każdego wieczoru. Lubił wstawać późno i kłaść się wcześniej, zająć się dobrym jedzeniem i popijać piwo w karczmach. Uważał ponadto, że cała słodycz istnienia ustaje wraz z życiem, a w sercu pielęgnował ogromną, instynktowną i jednocześnie uzasadnioną nienawiść do dział, strzelb, pistoletów i szabli, a nade wszystko do bagnatów, którymi nie umiał wymachiwać na tyle umiejętnie, by obronić swój tłusty brzuch.

Po nadejściu nocy, gdy kładł się na ziemi do snu, zawinięty w płaszcz u boku pochrapujących kompanów, rozmyślał długo o tych, których zostawił za sobą i o porozsiewanych na jego drodze niebezpieczeństwach: „A jeśli by go zabili, co stałoby się z dziećmi? Kto by je wykarmił i wychował? Przecież nie byli bogaci, mimo że zadłużył się przed wyjazdem, by nie zostawiać ich z pustymi rękami”. I Walter Schnaffs czasami płakał.

Na początku każdej bitwy czuł w nogach taką słabość, że gdyby nie wizja całej armii maszerującej po jego ciele, padłby na ziemię. Świszczenie kul sprawiało, że włosy stawały mu dęba.

I tak oto od miesięcy żył w ciągłym strachu.

Jego korpus zmierzał w stronę Normandii. Pewnego dnia oddział Waltera został wysłany na zwiad; nic, tylko proste rozpoznanie części kraju i szybki powrót. Na prowincji panował pozorny spokój, nic nie zwiastowało zorganizowanego oporu.

Prusacy spokojnie posuwali się w głąb małej doliny, poprzecinanej głębokimi wąwozami, gdy nagle zatrzymał ich intensywny ostrzał, który powalił dwudziestkę żołnierzy. Grupa partyzantów wychynęła z małego lasu i rzuciła się na nich, uzbrojona w bagnety.

Walter Schnaffs z początku nie poruszył się, tak zaskoczony i wystraszony, że nawet nie myślał o ucieczce. Następnie ogarnęło go szaleńcze pragnienie, by czmychnąć. Natychmiast jednak pomyślał,

że w porównaniu z podskakującymi niczym stado koziołków chudymi Francuzami, on sam wlecze się jak żółw. Gdy więc spostrzegł na sześć kroków przed sobą szeroki rów pokryty suchymi liśćmi, wskoczył do niego, nie zastanawiając się nawet nad jego głębokością, tak jak skacze się z mostu do rzeki.

Przebił się, niby strzała, przez grubą warstwę pnączy i ostrych cierni, które pocięły mu twarz i dłonie, po czym upadł z hukiem na kamienne posłanie.

Skierował oczy ku górze; przez otwór, który zrobił, dostrzegał niebo. Tak widoczna dziura mogła go zdradzić, ostrożnie przeczołgał się więc dalej w zagłębienie przykryte dachem z płataniny gałęzi, poruszając się najszybciej jak umiał i oddalając tym samym od miejsca walki. Następnie zatrzymał się i usiadł ponownie, przyczajony jak zając w wysokiej, suchej trawie.

Przez jakiś czas słyszał jeszcze odgłosy walk: wystrzały, krzyki i jęki. Po chwili hałasy osłabły, a następnie całkowicie ustały. Ponownie zapanowały cisza i spokój.

Nagle coś poruszyło się obok. Podskoczył z przestachu. Był to mały ptak, który usiadłszy na gałęzi, wprawiał w ruch uschnięte liście. Jeszcze przez godzinę poruszone serce Waltera Schnaffsa kołatało mu w piersi.

Zapadający zmrok wypełniał wąwóz cieniem. Żołnierz zaczął rozmyślać. Co teraz robi? Co się z nim stanie? Może powinien znowu dołączyć do armii? Ale w jaki sposób? Zresztą, musiałby wtedy wrócić do okropnego życia pełnego trosk, strachu, zmęczenia i cierpienia, które wiodł od początku wojny! Nie! Nie mógł się już na to zdobyć! Nie miałby już energii, żeby znieść tułaczkę i wszechobecne niebezpieczeństwa.

Ale co począć? Nie mógł przecież chować się w tym rowie do końca wojny. Wykluczone. Gdyby nie trzeba było jeść, ta perspektywa nie byłaby aż tak zła; ale jeść było trzeba, każdego dnia.

I tak oto znalazł się całkowicie sam, uzbrojony, w mundurze, na terytorium wroga, daleko od wszystkich, którzy mogli mu pomóc. Włosy stawaly mu dęba.

Nagle naszła go myśl: „Gdybym tak został jeńcem!”, a w sercu narodziło się gwałtowne, nieumiarkowane pragnienie, pragnienie niewoli u Francuzów. Uratowaliby go, nakarmili i przenocowali, z dala od kul i szabl, w murach solidnego, strzeżonego więzienia. Być jeńcem – marzenie!

I natychmiast podjął decyzję.

„Oddam się w niewolę”.

Podniósł się, pełen determinacji, by zrealizować swój plan bez zbędnej zwłoki. Nie poruszył się jednak, obezwładniony nagłym napływem pesymistycznych wizji i nowych strachów.

Gdzie miałyby się oddać w niewolę? W jaki sposób? U kogo? Straszne obrazy, obrazy śmierci zakłębiły się w jego duszy.

Z pewnością spotkają go nie lada okropności, jeśli zdecyduje się paradować sam po okolicy w spiczastym hełmie Prusaka.

A jeśli napotka wieśniaków? Ci, widząc zagubionego, bezbronnego pruskiego żołnierza, zabiliby go jak zbłąkanego psa! Skatowaliby go widłami, motykami, kosami i łopatami. Przerobiliby na miazgę, na papkę, z zaciekłością właściwą rozwścieczonemu przegrany.

A jeśli spotka oddziały partyzantów? Wściekli, pozbawieni zasad i dyscypliny, strzelaliby do niego dla zabawy, żeby się rozerwać, żeby pośmiać się z niego. I oczyma wyobraźni widział już siebie, przypartego do muru, naprzeciwko tuzina celujących w niego luf, których okrągłe i czarne otwory zdawały się go obserwować.

A jeśli natknąłby się na główną armię francuską? Wojskowi z przedniej flanki wzięliby go za zwiadowcę, za nieustraszonego i bystrego żołnierza, który udał się samotnie na przeszeptanie, i zastrzeliliby go. Już słyszał nieregularne wystrzały żołnierzy leżących w zaroślach, podczas gdy on, stojąc pośrodku pola, obsuwałby się, podziurawiony przez kule niczym durszlak; już czuł, jak przeszywają mu ciało.

Usiadł ponownie, zrozpaczony. Sytuacja zdawała mu się bez wyjścia.

Nadeszła głucha, czarna noc. Już się nie ruszał, drżąc na każdy nieznamy szmer, który dochodził z ciemności. Królik, przytupując na skraj nory, niemalże sprawił, że Walter wziął nogi za pas. Pohukiwania sów rozdzierały mu duszę, przysparzając nagłych strachów, bolesnych jak rany. Wytrzeszczał swe wielkie oczy, usiłując przyzwyczaić wzrok do ciemności; i wyobrażał sobie, że lada moment usłyszy w pobliżu kroki.

Po niezliczonych godzinach zmartwień, właściwych skazańcowi, poprzez sklepienie z gałęzi dostrzegł, że niebo się rozjaśnia. Przepełniła go ogromna ulga; jego kończyny odpoczęły, nagle odprężone serce uspokoiło się, powieki opadły. Zasnął.

Gdy się obudził, zdało mu się, że słońce stoi już w zenicie; musiało być południe. Żaden hałas nie zakłócał ponurego spokoju pól; a Walter Schnaffs poczuł, że dręczy go dokuczliwy głód.

Ziewał, a do ust napływała mu ślina na myśl o kielbasie, dobrej, żołnierskiej kielbasie; burczało mu w brzuchu.

Podniósł się, zrobił kilka kroków, poczuł słabość w nogach i usiadł, żeby się zastanowić. Jeszcze przez dwie czy trzy godziny rozważał za i przeciw, zmieniając nieustannie decyzję, pokonany, nieszczęśliwy, rozdarty przez racje jak najbardziej sprzeczne.

W końcu jeden pomysł wydał mu się sensowny i praktyczny: wypatrywać przechodzącego samotnie wieśniaka, bez broni i niebezpiecznych narzędzi, wybiec przed niego i złożyć swój los w jego ręce, dając mu jasno do zrozumienia, że oddaje się w niewolę.

Zdjął więc swój hełm, którego szpiczasty kształt mógł go zdradzić, i bardzo ostrożnie wychylił głowę z nory.

Żadna samotna postać nie pokazywała się na horyzoncie. Tam, po prawej, z dachów domostw w małej wiosce ulatywał do nieba dym, dym z pieców kuchennych! Tam, po lewej, na końcu porośniętej drzewami alejki, spostrzegł otoczone wieżyczkami zamczysko.

Czekał w ten sposób aż do wieczora, cierpiąc straszliwie, nie widząc nic poza przelatującymi krukami, nie słysząc nic prócz głuchych skarg żołądka.

I noc znowu zapadła.

Rozciągnął się w głębi swojej kryjówki i zasnął snem gorączkowym, nawiedzanym koszmarami, snem człowieka wygłodzonego.

Poczuł na sobie światło wschodzącego słońca. Powrócił do obserwacji. Wieś jednak pozostawała tak samo pusta jak poprzedniego dnia, a nowy strach zagościł w umyśle Waltera Schnaffsa, strach przed śmiercią głodową! Widział siebie rozpostartego na plecach z zamkniętymi oczyma w głębi tej dziury. Następnie zwierzęta, małe zwierzątka wszelkiego rodzaju, zbliżały się do jego truchła i zabierały się za jedzenie, atakując zewsząd jednocześnie, wślizgując się pod ubrania, aby zatopić zęby w wystygłej skórze. I wielki kruk ostrym dziobem wykuwał mu oczy.

Pogrążył się w szaleństwie, wyobrażając sobie, że zemdleje ze słabości i nie będzie już mógł się poruszyć. Przygotowywał się, by wyruszyć w kierunku wioski, zdecydowany, że odważy się na wszystko, że postawi się każdemu, gdy spostrzegł trzech idących z widłami na ramieniu wieśniaków, i zanurzył się znowu w swojej kryjówce.

Kiedy wieczór pogrążył dolinę w ciemnościach, powoli wychylił się z zagłębienia i skulony, przepełniony strachem, z kołatającym sercem

ruszył w drogę do zamku; chciał dotrzeć tam, a nie do wioski, która wydawała mu się równie niebezpieczna, co legowisko tygrysów.

W dolnych oknach paliło się światło. Jedno było nawet otwarte, a wydobywał się z niego intensywny zapach gotowanego mięsa, który nagle przez nos trafił aż do żołądka Waltera Schnaffsa. Zapach ten sprawił, że zaczął niecierpliwie się i dyszeć; przyciągał go nieodparcie, karmiąc jego serce desperacką śmiałością.

I nagle bez namysłu stanął w hełmie we framudze okna.

Ośmiu służących spożywało kolację przy dużym stole. Naraz jedna służąca stanęła w osłupieniu, upuszczając kieliszek, z oczami wlepionymi w punkt. Wszystkie spojrzenia podążyły za nią.

Dostrzeżono wroga!

O Panie! Prusacy zaatakowali zamek!

Zaczęło się od krzyku, pojedynczego krzyku, złożonego z ośmiu innych, strasznego krzyku pełnego grozy, po którym nastąpiły gwałtowny zryw, przepychanki, zawierucha i szaleńcza ucieczka w stronę tylnych drzwi. Krzesła poprzewracały się, mężczyźni popychali kobiety i przebiegali nad nimi. W kilka sekund pomieszczenie opustoszało, pozostał tylko pokryty jadłem stół naprzeciwko oniemiałego Waltera Schnaffsa, który nadal stał w oknie.

Po chwili wahania wskoczył do środka przez okno i pospieszył do talerzy. Trząsł się niby w gorączce, miotany niepokohowanym głodem; ale strach go powstrzymywał, wciąż go paraliżował. Nadstawił ucha: cały dom zdawał się drżeć, drzwi zamykały się, pospieszne kroki wybrzmiewały na podłodze piętro wyżej. Niespokojny Prusak nasłuchiwał tych nieznanomych dźwięków; następnie usłyszał głuchoe odgłosy, jak gdyby ciała spadające na miękką ziemię, u podnóża murów, ciała ludzi wyskakujących z pierwszego piętra.

Później całe poruszenie ustało, a w zamczysku zapadła grobowa cisza.

Walter Schnaffs usiadł przed nietkniętym talerzem i zaczął jeść. Pochłaniał jedzenie wielkimi kęsami, jak gdyby bał się, że ktoś mu przeszkodzi, zanim wystarczająco się napcha. Obiema dłońmi wrzucał kawałki pożywienia do otwartych niczym zapadnia ust; a żywność przesuwiała się w dół, do żołądka, sprawiając tym samym, że nabrzmiewał mu przełyk. Przerywał od czasu do czasu, prawie że pękając na podobieństwo zbyt wypchanej rury. Brał wtedy dzban z cydrem i przepłukiwał nim przełyk, tak jakby usuwał zator.

Opróżnił wszystkie talerze ze znajdujących się na nich potraw, wypił zawartość wszystkich karafek, a potem – odurzony wyżerką, otumaniony, cały czerwony, szarpany czknięciami, zaniepokojony, z tłuszczem ściekającym po ustach – rozpiął mundur, aby odetchnąć, niezdolny do zrobienia kroku. Oczy mu się zamykały, myśli drętwiały. Oparł czoło o skrzyżowane na stole ramiona i łagodnie osunął się w stan kompletnej nieświadomości.

Ledwie widoczny księżyc słabo oświeślał horyzont nad drzewami w parku. Była to zimna godzina, poprzedzająca nastanie dnia.

Cienie zakradły się w zarośla, liczne i ciche; a od czasu do czasu księżycowy promień rzucał światło na ukryty w cieniu stalowy oręż.

Widać było wielki, ciemny zarys spokojnego zamczyska. Świeciło się tylko w dwóch oknach na parterze.

Nagle rozległ się grzmiący okrzyk:

„Naprzód! W imię Wszechmogącego! Do ataku, moje dzieci!”

I wtedy, w jednej chwili, drzwi, okiennice i szyby uległy pod napływem ludzkiej fali, która wtargnęła do środka, strzaskała, zniszczyła wszystko, załapała cały dom. W jednej chwili pięćdziesięciu uzbrojonych po zęby żołnierzy wskoczyło do kuchni, gdzie spokojnie odpoczywał Walter Schnaffs i, wymierzając w jego pierś pięćdziesiąt naładowanych strzelb, całą gromadą obaliło go, potoczyło i pochwyciło, wiążąc od stóp do głów.

Dyszał z oszołomienia, zbyt napchany, by cokolwiek zrozumieć, pobity, wybatożony i oszalały ze strachu. I nagle masywny żołnierz, cały ozdobiony złotem, wbił mu stopę w brzuch, krzycząc:

„Jesteś moim więźniem, poddaj się!”

Prusak rozumiał tylko pojedyncze słowo „więzień” i wyjęczał „*Ja, ja, ja*”.

Został posadzony i związany na krześle, a jego pogromcy, zziązani niczym psy po pogoni, przesłuchiwali go z żywą ciekawością. Kilku usiadło, nie wytrzymując już z emocji i zmęczenia.

A on uśmiechał się, pewny, że w końcu został jeńcem!

Inny oficer wszedł i powiedział:

„Pułkowniku, wrogowie uciekli; zdaje się, że wielu z nich odniosło rany. Teren pozostaje w naszych rękach”.

Gruby żołnierz wycierając czoło wykrzyknął: „Zwycięstwo!”.

I napisał w kajeciku wyciągniętym z kieszeni:

„Po zaciętej bitwie Prusacy musieli się wycofać, zabierając ze sobą poległych i rannych towarzyszy. Straty wroga oszacowano na około pięćdziesięciu ludzi niezdolnych do walki. Udało nam się pojmać wielu z nich”.

Młody oficer powtórzył:

„Jakie rozkazy, pułkowniku?”.

Pułkownik odpowiedział:

„Wycofamy się, żeby uniknąć kontrofensywy z artylerią i silniejszymi oddziałami”.

I nakazał odwrót.

Ponownie uformowana w cieniach zamku kolumna ruszyła, otaczając z każdej strony związanego Waltera Schnaffsa, trzymanego przez sześciu uzbrojonych w rewolwery żołnierzy.

Zwiadowców wysłano przodem, żeby oświetlali drogę. Ruszono naprzód, co jakiś czas robiąc postój.

O świcie dotarli do okręgu La Roche-Oysel, skąd pochodziła gwardia narodowa, która dokonała zbrojnego wyczynu i pochwyciła Prusaka.

Czekała na nich niespokojna, podekscytowana ludność. Gdy zauważono hełm jeńca, wybuchły podniosłe okrzyki. Kobiety wznosiły ramiona; starcy płakali, a jeden z nich rzucił swoją laską w Prusaka i zranił w nos jednego ze strażników.

Pułkownik krzyczał.

„Strzeżcie jeńca!”.

Wreszcie dotarli do merostwa. Otwarto więzienie, a oswobodzonego z więzów Waltera Schnaffsa wrzucono do środka.

Dwustu uzbrojonych mężczyzn pełniło straż wokół budynku.

Tymczasem oszalały z radości Prusak, mimo prześladowających go od pewnego czasu objawów niestrawności, zaczął tańczyć, tańczyć aż do zatracenia, unosząc ręce i nogi, tańczyć, wydając przy tym dzikie okrzyki, aż wykończony upadł pod ścianą.

Był jeńcem! Ocalał!

I tak oto wyzwolono zamek Champignnet po zaledwie sześciu godzinach oblężenia.

Pułkownik Ratier, handlarz suknem, który przewodził oddziałom gwardii narodowej La Roche-Oysel, dostał medal.

Kogut zapiał

przełożyła i opracowała Jowita Jakubiak

Słowo wstępne

Kogut zapiał (*Un coq chanta*) to czternasta nowela ze zbioru *Opowieści słonki*. Choć Maupassant zasłynął z krótkich, ironicznych form oraz fantastycznych i naturalistycznych opowiadań, podejmował on równie często tematy frywolne i kpił ze społecznych gier i obyczajów.

Trzydziestodwuletni Maupassant, zainspirowany *Dekameronem* Boccaccia, stworzył własny krąg postaci, szlachciców rozmiłowanych w myślistwie i biesiadzie połączonej z opowiadaniem historii, w których pojawia się różnorakiego rodzaju łowna fauna. *Kogut zapiał* jest jedną z opowieści, którymi raczą się przy stole zasłanym upolowaną zwierzyną.

Ta krótka historia odchodzi od dominującej w cyklu tematyki wojennej. Mamy do czynienia z tekstem o pikantnym humorze, bogatym w dwuznaczności. Polowanie, motyw przewodni *Opowieści słonki*, jest tutaj zrównane z wrzącym krwią kochanków, romantycznym pościgiem.

Kogut zapiał opowiada historię pięknej pani d'Avancelles, groźnej i przebiegłej kobiety, o której względy zabiega pewien baron, Joseph de Croissard. Pani d'Avancelles jest związana małżeństwem z człowiekiem o znikomych zdolnościach do miłosnych igraszek; nic więc dziwnego, że podoba się jej pasja i determinacja przystojnego barona. Zgadza się, by z nadejściem jesieni oddać mu się w pełni. Stawia jednak pewien warunek: baron ma upolować dla niej odyńca i zabić go na jej oczach.

Jesień, światła zamku, leśna zwierzyna, huk fajerwerków i pieśń rogów stanowią wprost idealne tło do skrywanej przez głównych bohaterów miłosnej gonitwy. Czerwieniejące drzewa, ubrania brudne od krwi stają się symbolem meandrów erotycznych uniesień.

Kogut zapiał ukazuje niuanse miłosnych igrzysk. Baron, otumaniony dziką żądzą, staje się łatwym celem, nawet jeśli sam uważa się za zwycięzcę zawodów. Maupassant z pomocą swojej *femme fatale* demonstruje niebezpieczeństwa sztuki uwodzenia, w której dominuje ten, kto z zabójczą precyzją zaplanuje atak i zapanuje nad obezwładniającym pożądaniem.

Kogut zapiał

Pani Berthe d'Avancelles aż do tej pory odrzucała wszelkie awanse swojego zdesperowanego admirałora, barona Josepha de Croissarda. Zimą w Paryżu śledził ją z płomiennym zapalem, a teraz wydawał dla niej przyjęcia i polowania w swoim normandzkim zamku w Carville.

Mąż, pan d'Avancelles, nic nie widział, nic nie wiedział, jak zawsze. Mówiono, że żył oddalony od żony z powodu słabości fizycznej, której pani za nic mu nie chciała wybaczyć. Był to gruby, łysy, niski mężczyzna, który miał krótkie ramiona, nogi, szyję, nos – który wszystko miał krótkie.

Natomiast pani d'Avancelles była wysoką, młodą brunetką, kobietą zdecydowaną; śmiała się dźwięcznie w twarz swojemu panu, którego nazywała publicznie „kurą domową”, i przyglądała się z pewną zachętą i czułością szerokim ramionom i silnemu torsowi oraz długim blond wąsom jej licencjonowanego zalotnika, barona Josepha de Croissarda.

Jednakże na nic się jeszcze nie zgodziła. Baron rujnował się dla niej: bez przerwy wyprawiał przyjęcia i polowania, organizował coraz to nowe przyjemności, na które zapraszał szlachtę z okolicznych zamków.

Rozbiegane psy całymi dniami wyły w lasach, ścigając lisa czy dzika, i każdego wieczora olśniewające fajerwerki mieszały swoje ogniste pióropusze z gwiazdami, podczas gdy rozświetlone okna salonu rzucały na rozległe trawniki smugi światła, przez które przemykały cienie.

Nadeszła rdzawa jesień. Liście trzepotały nad trawnikami jak gromady ptaków. W powietrzu dało się wyczuć zapach wilgotnej, gołej ziemi, tak jak czuje się zapach nagiej skóry, kiedy po balu opada suknia kobiety.

Zeszłej wiosny, w trakcie wieczornego przyjęcia pani d'Avancelles odpowiedziała panu de Croissard, który nękał ją swoimi prośbami: „Jeśli mam ulec, mój przyjacielu, nie będzie to przed opadnięciem liści. Mam zbyt dużo rzeczy do zrobienia tego lata, aby mieć na to czas”. Przypominał sobie te swobodne i śmiałe słowa; i każdego dnia naciskał coraz bardziej, każdego dnia postępował w swoich awansach, wydierał kawałek serca zuchwałej piękności, która, zdawałoby się, opierała mu się już jedynie dla konwenansu.

Miało nadejść wielkie polowanie. Toteż dzień wcześniej, pani Berthe, śmiejąc się, rzekła do amanta: „Baronie, jeśli zabijecie bestię, będę miała coś dla pana”.

Od świtu był na nogach, aby zorientować się, gdzie znajdowało się legowisko odyńca. Towarzyszył dojeżdżaczom⁵, spuszczał ze smyczy psy, organizował wszystko samodzielnie, aby przygotować swój triumf; i kiedy dźwięk rogów ogłosił rozpoczęcie polowania, pojawił się w ciastnym, czerwono-złotym ubraniu łowcy; miał opięte biodra, szeroki tors, błyszczące oko, był świeży i silny, jakby dopiero wstał z łóżka.

Myśliwi ruszyli. Spłoszony dzik, ścigany przez ujadające psy, gnał przez zarośla, a konie porwały się do galopu, niosąc amazonki i jeźdźców przez wąskie, leśne ścieżki, podczas gdy na podmokłych drogach sunęły bezdźwięcznie powozy, towarzyszące pościgowi z daleka.

Pani d'Avancelles złośliwie trzymała barona przy sobie, opóźniając go, prowadząc swojego wierzchowca stępem, szeroką, prostą i nieskończenie długą aleją, nad którą cztery rzędy dębów łączyły się w sklepienie.

Drżący z miłości i niepokoju, jednym uchem słuchał szyderczego trajkotania młodej kobiety, a drugim śledził śpiew rogów i głos oddalających się psów.

– Więc już mnie pan nie kocha? – mówiła.

Odpowiedział:

– Jak może pani mówić podobne rzeczy?

Znów podjęła:

– Polowanie jednak wydaje się pana interesować bardziej niż ja.

Jęknął:

– Czy to właśnie nie pani rozkazała mi, abym ja sam ubił zwierzę?

A ona dodała najpoważniej:

– Ależ na to liczę. Pragnę, panie, byś go zabił na mych oczach.

Tak więc drżał w siodle, tracąc cierpliwość i spinał wyrywającego się konia:

– Na litość boską! Pani, to się nie wydarzy, jeśli tu zostaniemy.

Następnie mówiła do niego czule, kładąc rękę na jego ramieniu, lub mierzwiąc, jakby dla odwrócenia uwagi, grzywę jego konia.

I rzuciła ze śmiechem:

– Oby się jednak wydarzyło..., a jak nie... tym gorzej dla pana!

⁵ W swoim *Słowniku języka polskiego* Witold Doroszewski definiuje ten termin w następujący sposób: „jeździec ścigający z ogarami lub chartami zwierzynę na polowaniu; na dawnych dworach magnackich i szlacheckich: specjalny służący pełniący tę funkcję”.

Później skręcili w prawo, w małą, ukrytą dróżkę i nagle, aby uniknąć gałęzi, która zagrażała drodze, kobieta pochyliła się w jego stronę tak blisko, że poczuł na szyi łaskotanie jej włosów. Wtedy przyciągnął ją brutalnie i, naciskając wielkimi wąsami na jej skroń, pocałował ją wściekle.

Na początku nie poruszyła się, poddana wciąż tej przelotnej pieszczocie; po czym, jakby we wstrząsie, odwróciła głowę i czy to z przypadku, czy to z pragnienia, jej małe usta poznały się z jego ustami, pod kaskadą jasnych wąsów.

Wówczas, na poły zmieszana i skruszona, smagnęła konia, który ruszył gwałtownym galopem. Długo tak pędzili, nie wymieniając nawet spojrzenia.

Coraz wyraźniej słyszeć było zgiełk polowania; zarośla zdawały się dygotać, i nagle, przedzierając się przez gałęzie, ukazał się zakrwawiony odyniec, który próbował uwolnić się od oblegających go psów.

Wtedy baron, wybuchnąwszy zwycięskim śmiechem, krzyknął: „Komum drogi, idzie za mną!”. I zniknął w gęstwinie krzewów, tak jakby las go pochłoniął.

Kiedy kilka minut później pani d’Avancelles dotarła na miejsce, ujrzała go na polanie, brudnego od błota, w podartym żakiecie i z zakrwawionymi rękami. Rozciągnięta bestia miała zanurzony w sobie aż po rękkość myśliwski nóż.

Odprawa⁶ odbyła się przy pochodniach, nocą ciepłą i pełną melancholii. Złotawy księżyc tłumił czerwony płomień pochodni, które zamglily ciemne niebo żywicznym dymem. Psy zajały się cuchnącymi wnętrznościami odyńca, wyjąc i szamocąc się. Tymczasem dojeżdżacze i szlachcice, zebrani w kręgu dookoła upolowanej zwierzyny, dęli w rogi pełną piersią. Fanfary przeniknęły jasną noc aż nad sam las, odbijane zagubionym echem przez dalekie doliny, budząc niespokojne jelenie, szczekające lisy i zakłócając baraszkowanie małych, szarych królików na brzegu polany.

Nocne ptaki trzepotały przestraszone nad oszołomioną podnieceniem watahą. I kobiety, rozczerwione tymi wszystkimi czynnościami pełnymi łagodności i przemocy, przylegały delikatnie do ramion mężczyzn i oddalały się z nimi w alejkach, nim psy skończyły ucztę.

⁶ Odprawa w myślistwie oznacza moment oddawania patrochów upolowanej zwierzyny psom gończym.

Słodko znużona dniem pełnym wysiłku i czułości pani d'Avancelles powiedziała do barona:

– Zechciałby pan przejść się po parku, przyjacielu?

Na to on, bez słowa, osłabiony, drżący, pochwycił ją.

I natychmiast się pocałowali. Szli spokojnym krokiem pod prawie bezlistnymi gałęziami, które pozwalały wyrzeć księżycowi; i ich miłość, pożądanie, potrzeba objęcia stały się tak gwałtowne, że prawie upadli u stóp drzewa.

Śpiew rogów ucichł. Wyczerpane psy spały w budach. „Wracajmy”, powiedziała młoda kobieta. Ruszyli w drogę.

Później, kiedy dotarli już do zamku, wyszeptwała omdlewającym głosem: „Jestem tak zmęczona, że pójde się położyć, mój przyjacielu”. I gdy otworzył ramiona, aby skraść ostatni pocałunek, uciekła, rzucając mu na pożegnanie: „Nie... idę spać... Komum droga, idzie za mną!”.

Godzinę później, gdy pogrążony w ciszy zamek zdawał się martwy, baron wyszedł po cichu ze swojego pokoju, by zapukać do drzwi przyjaciółki. Jako że nie odpowiedziała, spróbował je otworzyć. Nie były zaryglowane.

Rozmyślała, oparta o okno.

Rzucił się jej do kolan, całował je zawzięcie przez halkę. Nic nie mówiła, pieszczotliwie zanurzając smukłe palce we włosach barona.

Nagle wyrwała mu się, jakby podjęła wielką decyzję, wyszeptwała ze znaną sobie śmiałością, lecz szeptem: „Wróć. Niech pan na mnie zaczeka”. I wyciągniętym w ciemności palcem wskazała mu mglistą, białą plamę łóżka w głębi pokoju.

Tak więc, po omacku, odurzony, rozebrał się szybko drżącymi rękoma i zanurzył w świeżej pościeli. Rozłożył się w niej rozkosznie, zapominając niemal o swej przyjaciółce, tak bardzo sprawiała mu przyjemność pieszczota materiału na wyczerpanym ciele.

Pani jednak nie powracała, bez wątpienia świetnie się bawiła, każąc mu czekać. Zamknął oczy w pysznym i błogim stanie; i snuł słodkie marzenia w wybornym oczekiwaniu na rzecz tak upragnioną. Tymczasem jego członki powoli drętwiały, myśl usypiała, stała się niepewna, rozwiana. W końcu potężne zmęczenie ścięło go z nóg; zasnął.

Spał ciężko, niezwykłym snem wycieńczonych myśliwych, aż po świt.

Nagle przez uchylone okno dobiegło do niego pianie koguta siedzącego na sąsiednim drzewie. Zaskoczony tym dźwięcznym krzykiem, baron gwałtownie otworzył oczy.

Czując obok siebie ciało kobiety, znajdując się w łóżku, którego nie rozpoznawał, skołowany i bez żadnych nocnych wspomnień, wybełkotał, przerażony pobudką:

– Co? Gdzie jestem? Co się dzieje?

Tymczasem ona, która nie zmrużyła oka, przyglądała się rozczochanemu mężczyźnie z zaczerwienionymi oczami, o spuchniętych ustach i odpowiedziała tonem, którym zwracała się do swojego męża:

– To nic. Kogut pieje. Niech pan wraca do snu, to pana nie dotyczy.

Niniejszy tomik tłumaczeń jest owocem pracy grupy studentów I i II roku studiów magisterskich poznańskiej romanistyki. W ramach prowadzonego przez dr. Jędrzeja Pawlickiego i dr Martę Sukiennicką seminarium badawczego studenci zaproponowali tłumaczenia nieznanych lub trudno dostępnych polskiemu czytelnikowi tekstów mistrza francuskiej nowelistyki, Guy de Maupassanta.



ISBN 978-83-68006-35-3

DOI 10.48226/978-83-68006-35-3